

Karasie!

Iwona, księżniczka Burgunda, reż. Grzegorz Jaremkó, Teatr Dramatyczny w Wałbrzychu



HENRYK MAZURKIEWICZ

Doktor nauk humanistycznych, krytyk teatralny, członek redakcji portalu „Teatralny.pl”. Pisz

»

»

»



fot. Natalia Kabanow

Przed wyjazdem do Wałbrzycha postanowiłem wyjąć z półki mojej prywatnej biblioteczki tekst dramatu Gombrowicza i – jeżeli nie przeczytać – to przynajmniej go przewertować. Pamiętałem też, że z łaski wydawnictwa opatrzony został wielce interesującym wywiadem Piotra Gruszczyńskiego z Grzegorzem Jarzyną. Można by było więc przy okazji przypomnieć sobie mądre przemyślenia tych dwóch panów.

Niestety, nie zdążyłem tego uczynić. Jak każdy bibliofil wie, niezbadane są losy, czas i okoliczności lektur naszych. To spektakl przyjechałem więc jedynie z samotnie oczekującym na resztę mojej uszyty tytułem tej obszernej rozmowy – *Książę istotny*. I jak to często bywa, nasz bawiący się rymowaniem wszechświat-poeta chciał, żeby w odczytaniu *Iwony, księżniczki Burgunda* Grzegorza Jaremkó Książę był akurat najmniej ważnym ze wszystkich.

Zmarginalizowany został na tyle, że po piętnastominutowej przerwie, podczas której towarzyszy nam chropowaty baryton Dariusza Skowrońskiego czytającego sprawozdanie dotyczące lasów królewskich, w ogóle się nie pojawił. To znaczy nie pojawił się jako postać, bowiem grający Filipa Jakub Saski drugą część przedstawienia z woli reżysera przesiedział między rzędami krzeseł. Na jakiś czas jak gdyby zamienił się w widza, wraz z publicznością przglądając się wydarzeniom świata przedstawionego. Tylko pod sam koniec, dla jednej z finałowych scen grupowych, założył na głowę białą czapkę-maskę. Ale nie był to już Książę, lecz jeden z tłumu dworzan zapatrzonych w dumnie kroczącą pod ogłuszającą muzykę parę królewską, która w wyciągniętych przed sobą rękach trzymała pogniecioną biało-czerwoną chorągiewkę. Aż szkoda mi się zrobiło aktora, który w taki sposób miał zadebiutować na scenie. Szkoda, ponieważ w pierwszej części też nie udało mu się zabłysnąć. Ubrany na szaro grał bardzo ostrożnie i poprawnie, niekiedy nieco niepewnie, ale starannie, nie próbując zbyt kupiać na sobie uwagi. Żadnych pretensji tylko zdziwienie, że debiutant-reżyser w wykreowanej przez siebie rzeczywistości nie znalazł miejsca dla następcy tronu, czyli debiutanta-aktora. A miejsce owo, moim zdaniem, było, do czego jeszcze wrócę.

We wspomnianym zaś wywiadzie, do którego sięgnąłem jeszcze w pociągu powrotnym, Jarzyna tak mówi o Filipie: „Był jedynym człowiekiem, który próbował dopatrzeć się w Iwonie czegoś ważnego. Poszukiwał. Już wszystko było gotowe, ułożone, wulgarnie, takie pospolite. A książę jako jedyny podjął trud poznawczy, starał się dociec”. W wałbrzyskim przedstawieniu tego trudu nie podjął, ale w tym akurat wypadku nie jestem pewien, czy w ogóle mógłby to uczynić. Chodzi mi o Iwonę. Iwona w przedstawieniu Grzegorza Jaremkó to wielka tajemnica, wielka niewiadoma, jeszcze większa może niż u samego Gombrowicza. I cokolwiek by się dało zarzucić spektaklowi, sama tylko Iwona w wykonaniu Sary Celler-Jezierskiej mogłaby go uratować i w pełni usprawiedliwić.

Już w pierwszej ze scen, zanim jeszcze zostanie przedstawiona, zanim w pełni zaistnieje dwór, ustalone będą hierarchie i nakreślone charaktery, aktorka zdejmie z siebie sukienkę, odepnie pas wyszczuplający i lykając z plastikowej butelki wodę, zacznie swój gimnastyczny performans. Krążąc dookoła maty sportowej, wykonywać będzie przeraźliwy taniec, grając jednocześnie z własnym brzuchem. Tylko że, o czym przekonujemy się z każdą kolejną sekundą, to wcale nie jest gra. Wygląda to tak, jakby Iwona chciała/musiła coś z tego brzucha wyzwolić, jakby coś z niego się wyrывało, chciało się urodzić. Jezierska gniecie brzuch niczym ciasto, klepie po nim. Te agresywne manualne zaklęcia w swej niewytłumaczalnej, historycznej chęci nadania wybranej części ciała określonego/wymarzonego/kanonicznego dla naszej kultury młodości kształtu wywołują przedziwne, przesywające trwożliwe wrażenia. Chociażby ze względu na samą aktorkę. Wysoka, szczupłutka i delikatna z cerą białą niczym śnieg Jezierska już się znajduje na tej granicy, gdzie każde przegięcie rzeczywistości byłoby przegięciem.

A jednak Iwona nie jest w wałbrzyskim przedstawieniu ofiarą. O nie! Jak się okazuje, myląca to jest scena. To znaczy jedna z możliwych jej interpretacji. Mianowicie ta, że przyszła księżniczka Burgunda do dosłownego opadnięcia z sił próbuje zapanować nad swoją cielesnością, dorównać obowiązującym, dworskim wzorcom seksapilu. Do takiego odczytania skłania zadziorny występ dwóch młodych instruktorek, kapłanek religii, której Tróją Świętą są biust, talia i pośladki. „Jak poczujesz głód – to pij wodę!” – pouczają one Iwonę i zarzucają jej, że w lenistwie swym nie robi przysiadów, nie skacze o tycze i zjada grubo ponad trzysta kalorii. Iwona jednak nieszczególnie się przejmuje tym dopisanym do Gombrowicza, publicystycznym w swym duchu atakiem. Nie jest „kozą ofiarną”. Swobodnie biega po scenie, śmieje się, żartuje, siada widzom na kolana, rozdaje uściski i całusy. Jest dzieckiem. Takim kosmicznym dzieckiem, które przez przypadek zawitało na Ziemię i teraz się bawi. Uprawia turystykę międzyplanetarną niczym bohaterka Scarlett Johansson w filmie *Pod skórą*. Jest Kevinem Spaceym z *K-Pax*, gotowym zjadać banany ze skórka. Dla niej to nie „kościół międzyludzki”, tylko „międzyludzki lunapark”. Są tu karuzele nastrojów, diabelski młyn historii, salony gier politycznych i trampoliny przemocy. Iwona bawi się w tych głupich, lecz zabawnych dorosłych, nie do końca wiedząc, o co im tak naprawdę chodzi. Jakby z języka, w którym oni do niej przemawiają, знаła tylko kilka najważniejszych słów. „Można z nią wszystko”, o ile w tym „wszystkim” znajdzie dla siebie coś nowego, nowe doświadczenie do kolekcji. Kiedy zaś ktoś z otoczenia zaczyna jej dokuczać, śmiało krzyczy do niego „won!”. Zastanawiam się, czy taka Iwona sama z siebie pojawiła się w wymyślonym przez twórców świecie, czy to cały sceniczny świat został „wydedukowany” z tak pomyślanej Iwony i tylko ją uzupełnia, otacza ją, stwarza dla niej odpowiednie tło.

Pierwsze wrażenia na temat przestrzeni, którą stworzył trzeci debiutant wałbrzyskiego przedstawienia, Rafał Domagała, dało się streścić w pytaniu: co się tu (do cholery) dzieje!? Długo stałem przy wejściu, nieco onieśmielony, wybierając sobie miejsce. Wprawnym okiem doświadczonego widza próbowałem ogarnąć geometrię sceniczną, żeby znaleźć ten najlepszy punkt obserwacyjny. Nie lada to było wyzwanie, bowiem krzesła otaczały niemalą przestrzeń gry niemalże z każdej z możliwych stron. Kiedy już usiadłem i mój wzrok przyzwyczaił się nieco do bogato rozlanego mleka sztucznej mgły, zacząłem wylapywać poszczególne elementy scenografii. Odczuwałem to tak, jakbym błąkał się po lesie, a kolejne konstrukcje z dyktu, mniejsze lub większe, dotykałem niczym drzewa. Zresztą sterczące tu i ówdzie z podłogi „miecze świetlne” kolorowych lamp nawet w jakiś sposób drzewa przypominały. Całemu temu snowi na jawie (marzeniu czy koszmarów!?) przglądało się zawieszone z tyłu lustro księżycą. Przglądało się jakoś posepnie i surowo. Być może dlatego, że sam spektakl jest zadziwiająco poważny. Nie ma w nim tej lekkości, której spodziewamy się po lekturze dramatu. Nieprzypadkowo przecież wiele z poprzednich realizacji na różne sposoby kręciło się dookoła takich gatunków jak farsa czy komedia. Tu natomiast uczucie trudnej do określenia tworgi przez cały czas, zgodnie z duchem scenografii, „gimnastykuje się” gdzieś z tyłu naszych głów. Jedynie dłuższe chwile emocjonalnego rozluźnienia daruje, z łaski swej, Król, w brawurowym wykonaniu Włodzimierza Dyły. Jego Ignacy – żywy, emocjonalny i nieprzewidywalny, w niektórych momentach rzeczywiście rozśmiesza do łez.

W międzyczasie, dokładniej między czasem Króla i Iwony, drugoplanowi bohaterowie jakoś zbyt po grążają się w tej swojej drugoplanowości. Reżyser każe im ozdabiać wydarzenia „nurtu głównego”, niekiedy niepotrzebnie, moim zdaniem, upierając się przy tym, że zawsze coś musi się dziać równoległe, a tekst należy nieustannie zderzać z sytuacją. Naprawdę zaiskrzyło od takiego zderzenia w scenie, kiedy Szambelan z Królem przerzucają się jednym jedynym słowem zawierającym w sobie niczym pestka cały nieskomplikowany pomysł na uwolnienie się od wzbudzającej niepotrzebne wspomnienia i skojarzenia „cimcirymci”. „Karasie” – rzuca do mikrofonu Szambelan. „Karasie” – podchwytuje obrońcy do niego plecami, stojący w pewnym oddaleniu Król. „Karasie – Karasie”. „Karasie – Karasie”. „Karasie – Karasie”. „Karasie – Karasie”. „Karasie – Karasie”. „Karasie – Karasie”. I tak długo, aż zaczynamy słyszeć w tych „karasiach” rytm i melodię. Światła przy tym migoczą, a na środku sceny, błyszcząca niczym karaś aktorka tańczy *vogue*. Dysonans poznawczy od tego *glamour dance* potęguje wygląd naszego dworu. Aktorzy bowiem za sprawą lekkiej ręki Domagały ubrani są jak żebracy po rajdzie na ostateczną wysprzedaż w secondhandzie. Całe zaś ich królestwo przypomina melinę pijacką, gdzie siedząc na taboretach niczym w jakiejś obskurnej kuchni, mówiąc Gombrowiczem, upijają się własnym królowaniem, dworskością własną i władzą swą zalewając się w sztok.

Nie iskrzy natomiast, kiedy Książę i Iwona, łącząc elementy improwizacji kontaktowej i wrestlingu, gimnastykują się na wspomnianym już materacu. Zbyt mocno ta scena przegrywa z tym pierwszym solo Jezierskiej. Wygrać z nią, czy się z nią przynajmniej zmierzyć, generując inne w swej istocie, lecz równie mocne napięcia, udaje się natomiast Królowej. Bardzo przekonująca, przerażająca wręcz jest Rozalia Mierzicka w swej samotności i w tym swoim „nikt nie zna mojego łona”. Rozhisteryzowana, upijająca się „pragnieniem gietkości” (napój damski) w opadającej z nagiego ciała czarnej sukni każde słowo wydobywa z dna, z mułu własnej rozpacz. Jej monolog to bolesna spowiedź. Ale przed kim? Być może przed Iwoną, którą zamierza zabić? W drugiej części przedstawienia nasze kosmiczne dziecko staje się niczym niewidzialny Rewizor z *Wędług Bobczyńskiego* Agaty Dudy-Grac. Nie wiadomo, kim jest, lecz każdy wyczuwa, że jedyną „łapówką”, która go uratuje, to do bólu, dosłownie do bólu szczerą spowiedź. Och, i tu akurat, obok Królowej, ustawiłbym jej syna. Czyżby nie miał grzechów do wyznania? Ja bym na jego miejscu się śpieszył, zanim pozaziemski spowiednik, zabawiwszy się takim królestwem, nie udławi się osicią i nie odleci gdzie indziej.

17-11-2017

GALERIA ZDJĘĆ

IWONA, KSIĘŻNICZKA BURGUNDA, REŻ. GRZEGORZ JAREMKÓ, TEATR DRAMATYCZNY W WAŁBRZYCHU



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr Dramatyczny w Wałbrzychu
Witold Gombrowicz
Iwona, księżniczka Burgunda
reżyseria: Grzegorz Jaremkó
dramaturgia: Tomasz Jękot
scenografia i kostiumy: Rafał Domagała
światło: Wojciech Pús
muzyka: Kamil Tuszyński
choreografia: Bożena Wydrowska
obsada: Sara Celler-Jezierska, Włodzimierz Dyła (gościnnie), Rozalia Mierzicka, Jakub Sasa (gościnnie), Dariusz Skowroński, Irena Sierakowska, Joanna Laganaowska, Karolina Gbki (gościnnie), Bożena Wydrowska (gościnnie), Czesław Skwarek
premiera: 13.10.2017

TAGI: Tomasz Jękot, Grzegorz Jaremkó, Wałbrzych, Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego,

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

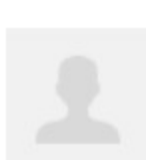
jeden razy osiem jako liczbę:



Robert Ramirez | 2024-10-07 13:52:58

Cytuj

If you're searching for reliable [bestdoctornearme.com](#), check out bestdoctornearme.com. They provide a comprehensive directory of qualified doctors, making it easy to find the right medical professional for your needs. It's a valuable resource for anyone looking to prioritize their health!



ND | 2017-11-20 09:23:40

Cytuj

+++!